

służby specjalne chcące wiedzieć o obywatelu więcej niż oni są skłonni im o sobie powiedzieć. Rzecz jasna, te służby otwierały listy i, nie pytane o pozwolenie, zaznajmiały się z ich treścią w wiekach minionych (np. tajny urząd o nazwie Czarny gabinet, po fr. *Cabinet noir* – we Francji burbońskiej i napoleońskiej). Działo się to jednak w epokach, gdy ogromna większość ludzi w ogóle nie korzystała z jakichkolwiek usług pocztowych. Współcześnie, gdy istnieje e-pocztą, która zdominowała rynek usług pocztowych, e-listy, przynajmniej niektóre, również są otwierane bez wiedzy i zgody wysyłających, jak też tych, do których są kierowane. Przy czym dostęp do nich, dla chcących tego i wiedzących jak to czynić, jest zdecydowanie łatwiejszy. Aby dotrzeć do konkretnego listu tradycyjnego, a następnie go otworzyć, przeczytać i na koniec zakleić, trzeba wykonać o wiele więcej czynności.

Piszmy więc tradycyjne listy. Po to np., aby ćwiczyć pismo odręczne. Także dlatego, że może i nam przydarzy się to, co następująco opisał Jerzy Zawiejski w liście z 1967 roku do Zbigniewa Herberta:

*Muszę Ci [...] donieść, że mam kilkadziesiąt Twoich listów, które złożyłem w Bibliotece Narodowej. Jestem dumny z tych listów. Może ze względu na Ciebie nie będą zapomniane.*

E-listów nikt nie złoży w, tej czy innej Bibliotece Narodowej, jak i w żadnej innej bibliotece. Nie tylko dlatego, że niedługo może nie być tego rodzaju instytucji (chyba, że będziemy bronić książki tradycyjnej – piszę o tym poniżej). Także ze względu na krótkotrwałość, wręcz ulotność listów elektronicznych; wystarczy przecież jedno kliknięcie... Paradoksalnie – paradoksalnie, gdyż dominuje opinia o trwałości treści zapisanych na e-nośnikach – papier jest trwalszy; oczywiście nie wszystkie jego gatunki.

Mając na uwadze właśnie ów materiał, jako kolejny punkt oporu proponuję książkę tradycyjną. A to ze względu na, chociażby, dotyk papieru, jak też namacalność samej książki (jej plusy na tym, rzecz jasna, nie kończą się). Jeśliby więc, ta sama książka miała swój odpowiednik w postaci tańszej (a tak najczęściej jest i będzie) e-książki, pozostaliśmy przy tej pierwszej – niech cena nie będzie przeważającym argumentem (nie tylko w tym konkretnym przypadku). Możemy przecież zakładać – a dlaczego by nie? – że jeżeli my okażemy przywiązanie do książki zajmującej ileś miejsca na półce, to inni dołączą do nas bądź my do nich. Nie tylko w tym przypadku ważne jest, aby nie poprzestawać na mówieniu, ale przejść do czynu.

Innym punktem oporu może być zastąpienie młynka elektrycznego młynkiem ręcznym, to znaczy postąpienie wbrew temu, co dokonano się w ostatnich dziesięcioleciach. Wykonywanie jak największej ilości czynności samodzielnie i własnoręcznie (wiążą się z tym dodatkowo ćwiczenia ruchowe) winno znajdować się w polu zainteresowania ludzi chcących zachować jak największą samodzielność i swobodę. Tym bardziej, gdy widzi się

zagrożenie w tym, że świat, nie tylko ten zwany zachodnim, zmierza ku modelowi, w którym człowiek będzie – ale bardzo często już jest – tylko i wyłącznie konsumentem. Konsumentem reagującym pozytywnie na reklamy rozmaitych, coraz to nowych produktów. I za ich sprawą szukającym wciąż nowych przyjemności. Nigdy jednak nie doznającym zaspokojenia. Ten typ współczesnego człowieka, wspomniany już ks. J. Tischner opisał następująco:

*(...) ludzie tracą z oczu problemy przekraczające ich jednostkowy horyzont, popadają w nowy rodzaj konformizmu, a mając kłopoty z poczuciem tożsamości, uzależniają się od pozornych autorytetów. Produktem współczesnej kultury samorealizacji okazuje się więc ostatecznie – wbrew dążeniom poświęcającym nowożytnemu ideałowi autentyczności i autonomii – egotyczne indywidualium, które nie stawia sobie żadnych wyższych celów, zawęża i spłaszcza swoją perspektywę życiową do konsumpcji i szukania przyjemności.*

(cytowany przez J. Gowina w: *Religia i ludzkie biedy. Ks. Tischnera spory o Kościół*).

W żadnym jednak razie nie nawołuję do, choćby próby, czynienia wszystkiego samemu. Tego, co kryje się za słowem „wszystkiego” jest bowiem nazbyt wiele. Każdy niech sam dokona stosownego wyboru. Ale niech go dokona.

\*\*\*

Nie mówmy i nie piszmy jednak, że szkoda czasu na kulturowanie, czy też ponowne wprowadzanie czasochłonnych metod. Pewien poeta z Aleksandrii sprzed dwóch tysięcy lat, którego nazwisko nie dotrwało do naszych czasów, tak wyraził się na ten temat:

*Staraj się naśladować swym życiem czas. A więc próbuj zachować spokój, umiarkowanie, unikaj skrajności. Nie bądź nazbyt wymowny, dąż do monotonii. Nie smuć się jednak, jeśli nie zdołasz tego osiągnąć. Albowiem po śmierci i tak upodobnisz się do czasu.*

\*\*\*

Zaproponowane przeze mnie dotąd punkty oporu mogły zainteresować niewielu. Choćby dlatego, że utylityzm, któremu służy także technika (a może on jej?), ma się bardzo dobrze. Jestem tego świadomy. Z tego względu chciałbym teraz wspomnieć o punkcie – i namawiać oczywiście do jego obrony – który dotyczy, dosłownie, wszystkich. Mam na myśli pieniądze. Konkretnie chodzi o zastępowanie pieniędzy, które można dotknąć, wszelkiego rodzaju kartami płatniczymi, bankowością internetową itd., w sumie – pieniędzmi wirtualnymi. Kiedy większość z nas zrezygnuje z dokonywania rozliczeń banknotami i monetami, wielcy tego świata – obecnie z całą pewnością są nimi lichwiarze nazywani bankierami (często także, i jak najbardziej słusznie: banksterami) – owe e-pieniądze wprowadzą. Na razie do tego namawiają,

jeszcze namawiają. Mówią przede wszystkim o wygodzie, którą odczuwają ci, którzy im zawierają. Wspominają też o tym, jak kosztowne jest drukowanie i wybijanie pieniędzy. I na razie stosują wobec swych klientów wyłącznie marchewkę, np. bonusy przy skorzystaniu z karty płatniczej. Na kij, tradycyjnie, czas przyjdzie później. Wtedy, kiedy ową zamianę banksterzy przekują na swój kolejny zysk. Bo tylko o zysk im chodzi – tak są zaprogramowani, taką mają skazę. Niestety, my pozwoliliśmy im podporządkować siebie. I nie jest ważne, że uczyniono to za minionych generacji (nie tak jednak znowu odległych). Nie jest ważne, gdyż współczesne pokolenie z tym się godzi.

Miejmy jednak świadomość, my, mieszkańcy Ziemi początku trzeciego tysiąclecia, że jeżeli nasze zarobki i oszczędności przybiorą, tylko i wyłącznie, postać e-cyfr na e-kontach, będziemy musieli jak najbardziej brać pod uwagę to, że za sprawą jednego jedyne kliknięcia będą mogły one zniknąć; znikną dosłownie bądź staną się własnością kogoś innego. Zważmy na to, że teraz możemy jeszcze swoje pieniądze trzymać – gdy pieniądze wciąż ileś wazą (wcześniej, gdy były złote i srebrne, ważyły dużo więcej) – nie w przysłówkowej, ale jak najbardziej realnej skarpecie bądź poduszce. I w każdej chwili możemy ich dotknąć, gdy tylko najdzie nas ku temu ochota. E-pieniądze nie dotknijemy. Nawet nie spojrzymy na nie. Dobrze o tym wiemy. Czemu więc używamy karty, jeśli oferuje się nam, za jej sprawą, wyłącznie wygodę?

Tylko płacąc gotówką sprawimy, że papierowy bądź metalowy pieniądz będzie nadal w obiegu. W ostateczności będzie miał przynajmniej wartość materiału użytego do jego druku lub wybicia. Wtedy, kiedy zostanie sprzedany (pewnie za e-pieniądze) w punkcie skupu makulatury i złomu. Wirtualnych cyfr nikt nie kupi, gdy nic realnego za nimi się nie kryje. Nie mają żadnej wartości.

Na początku (choćby jutro) zagniemy jednak od pisania listów: stalówką osadzoną w obsadce, piórem wiecznym, ostatecznie choćby długopisem, ale zagniemy. I czynimy to na papierze wyjętym z papeterii. Piszmy takie właśnie listy na przekór technice i ekonomii. Na przekór pomysłom tych, którzy są tak beczelni, że twierdzą, iż wiedzą, czego naprawdę potrzebujemy. Oni mogą to mówić, ale my nie musimy im wierzyć.



Rys. Sławomir Łuczyński